Młodość

Czasopismo illustrowane, poświęcone sztuce i literaturze

Rok II. Zeszyt VI

Czerwiec 1900

TREŚĆ ZESZYTU VI. „MŁODOŚCI“:

MŁODOŚĆ

MIESIĘCZNIK
LITERACKI i ARTYSTYCZNY

WYCHODZI W KRAKOWIE W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRENUMERATA KWARTALNA WYNOSI:
W AUSTRYI: 2 KOR. 40 HAL.
ZA GRANICĄ 3 KOR.

CENA JEDNEGO ZESZYTU 1 KOR.

ZESZYTY OKAZOWE WYSYŁA SIĘ NA ŻĄDANIE ZA ZALICZKĄ.



Klasztor średniowieczny.

Miesięcznej bieli
Zimny blask stroi
Mury klasztorne;
Mnich w pustej celi
Na jawie roi
Dziwy potworne.

Płaczą chorały
Głuchą melodyą
W kaplicy cichej —
To z grobów wstały
Z smętną psalmodyą
Umarłe mnichy.

Tchnieniem tajemnic
Przemknęły dreszcze
Z ściany do ściany,
Wypełzłe z ciemnic
Biegły złowieszcze
Mroków tumany.

Drgnęły zbudzone
Dziwną muzyką
Barwne witraże,
Pyłem przymglone
Śmiały się dziko
Potworne twarze.

Edward Leszczyński.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

SYN ZIEMI.*)

Zasadniczy rys w duchowym ustroju Kasprowicza, to cierpienie. Cierpienie to matka całego bytu, z niego się wszystko wyłoniło, do niego się wszystko odnosi, cierpienie jest osią całego życia.

W duszy Kasprowicza wszystko się staje cierpieniem. Cierpienie jest czemś pierwotnem i cierpienie stworzyło zło. Strach przed cierpieniem, strach przed życiem, strach przed śmiercią chciał się zagłuszyć i stworzył sobie rozkosz — a rozkosz trzeba okupić spokojem własnym lub innych, stąd rozkosz jest grzechem. Grzech wieczny, bo cierpienie jest wieczne i nic grzechu nie zmaże, nigdy grzech się nie zatraci, bo nic nie zdoła człowieka od cierpienia wyzwolić. Szczęście, a więc dobro, jest złudą, okrutnym majakiem, jaki szatańskie cierpienie przed oczy człowieka czaruje, by go jeszcze więcej pogrążyć. Cierpienie źródło zła, straszny a okrutny Szatan rozpanoszył się na ziemi, a ludzkość nigdy się z jego szpon nie wyrwie, bo ją opanował rozkoszą.

Ta myśl ustawicznie w jego utworach powraca w coraz to nowych odmianach, w ustawicznych szamotaniach się z bólem, w olbrzymich zapasach z potęgą cierpienia, w gorącem pragnieniu ku słońcu. I to jest tą wielką, smutną głębią Kasprowicza. To jest ten absolut, którego szuka poza wszystkimi przejawami życia; czę-

---

*) Z obszernej rozprawy o Janie Kasprowiczu, którą p. Przybyszewski przygotowuje do druku, zechciał nam dać jeden rozdział, poświęcony rozbiorowi przepięknego poematu Kasprowicza: »Święty Boże, Święty Mocny«.

sto widzę w jego tworze jakieś głębokie czyhające oczy, co się przedzierają przez złudną mgłę światła i wnikają w ciemność, głębiej, aż docierają do jądra bytu: cierpienia. Jak u Szopena wszystko na żal i tęsknotę się przemieniało, tak się u Kasprowicza wszystko staje bólem i cierpieniem. Ale ta sama myśl, która u Baudelaire'a naprzykład przerodziła się w kult »złego«, wytworzyła w Kasprowiczu dziwną, szeroką i niezmiernie smutną melancholię, weszła w skład jego miłości i jego głębokiej litości nad wszystkiem, co cierpi.

Z jaką bolesną miłością, ogarnął tę biedną duszę wygnaną z raju, w białe wielkie skrzydła ujął to obłąkane i skołatane serce, a nawet Szatana uszlachetnił pięknością smutku.

Ale jeszcze jedna rzecz wyróżnia Kasprowicza z tłumu tych wszystkich poetów cierpienia. Cierpienie u Kasprowicza to nie ten rozmarzony a wielce płaczliwy ból zawodów osobistych, złamanej miłości, braku pieniędzy, to nie ta wieczorna tęsknota, w którejby się chciało położyć głowę na łonie kochanki i patrzeć z słodkiem omdleniem w iskrzące się gwiazdy, — ból u Kasprowicza to kosmiczna potęga, co światy ze siebie wyrzuciła, to droga po jakiej ludzkość postępowała, to ból tworzenia i wiecznej przemiany — cierpienie, które Kasprowiczowi piersi rozpiera, szalało w piersiach proroków, w duszy takiego Słowackiego, kiedy tworzył Króla-Ducha i myślą wieki obejmował i je przeżywał.

On nie lęka, nie boi się cierpienia. Bierze je na swoje barki i jak ów mityczny Krysztofor, dźwiga bez skargi i roztkliwiań cały ten straszny ciężar. Czasem tylko się szarpnie i wyciągnie groźną pięść ku niebu, czasami jęknie, by znowu paść na kolana i z płaczem uniesienia zawołać:

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści
Spowita płaszczem bezdennego cienia
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia.
Boleści!

Najpotężniejszy wyraz znalazło to cierpienie w poemacie »Święty Boże, Św. Mocny«.

MŁODOŚĆ str. 116.

To już nie poemat, to jeden straszny, przeciągły krzyk, huragan, co nad głowami huczy, niszczy, łamie — kona w cichym poświście, to znów się wzmaga w dzikich szałach burzy. Cały poemat, to jedna groźna a potężna msza rozpaczy, missa desperationis jaką kiedyś Bogumilcy wśród najstraszniejszych prześladowań odprawiali, czarne święto rozpętanych żywiołów cierpienia. Któż z nas nie zna tej pięknej, a tak niezmiernie ponurej pieśni. W czasach wielkich klęsk, kiedy ziemia szaleje i niebo na niej mścić się zdaje, w czasach głodu, wojny, ognia, morowej zarazy wyrywa się z piersi ludzkości taki straszny krzyk błagania, prośby, rozpaczy, obłędu.

Kiedy pod rok 1000 ziemia wiła się w konwulsyach, trzęsła się i rozpadała, wojsko Ottona I, ciągnące do Włoszech widziało słońce czerwone jak szafran, a słońce dogorywać się zdawało, kiedy spieczona, ogniem strawiona ziemia nic już rodzić nie mogła, a ludzie według opowiadań kronikarza sami siebie pożerali, kiedy groźba sądu ostatecznego na niebie się rozłuniła krwawą pożogą, wtedy powstało Dies irae.

A kiedy u nas Szwedzi wyniszczali mordem i pożogą wsie i miasta, kiedy głód i zaraza wyludniła do reszty spustoszoną glebę, wtedy wyrwał się z piersi straszny jęk Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny.

Pieśń ta, to nasze polskie Dies irae.

Trzeba ją słyszeć w małym wiejskim kościele podczas oktawy Bożego ciała, kiedy już przez gęsty mrok z trudem przedziera się światło świec na ołtarzu — kiedy ksiądz obróci się z monstrancyą ku ludowi, a organy huczą jednem przeciągłem a odległem dudnieniem, wtedy następuje jedna chwila, która zimnym dreszczem ciało przebiega. Lud na kolana powalony oczekuje czegoś, coś jakby jakieś nieszczęście zawisło w powietrzu, co coraz niżej się stłacza i swym czarnym ciężarem na głowy się wali. I naraz intonuje ksiądz Św. Boże, Św. Mocny, a rykiem bólu i cierpienia odpowiada naród: Św. a Nieśmiertelny wybaw nas Panie.

Pomnę dobrze czasy cholery w r. 1873 kiedy gromady ludzi z wszystkich okolicznych wsi chodziły po nocach od jednej wsi

do drugiej z gromnicami w rękach i śpiewały wśród jęków i rozpaczliwych szlochań tę bolesną pieśń — pomnę jedną chwilę w kościele, kiedy zaraza najsilniejsza się srożyła a cały naród porwany dzikim obłędem rozpaczy wił się w konwulsyjnym płaczu i krzyku Wybaw nas Panie — ale niczem to cierpienie, kiedy wśród jęku tej pieśni biedny lud uświadamia sobie swoją nędzę, niczem ta żywiołowa rozpacz ludu, nad którym śmierć i zagłada upiorne skrzydła rozpostarła wobec tego bezbrzeżnego cierpienia, tej beznadziejnej rozpaczy, co rozpiera pierś samotnego człowieka w »Święty Boże« Jana Kasprowicza. W poemacie tym zbiegają się wszystkie cechy, jakie twórczość jego charakteryzują, jest on jakoby syntezą wszystkich linii jego twórczego ustroju.

W ogromnych, szerokich zarysach odtworzył całą ziemię, a raczej wyrwał sobie ją z serca, bo on i ziemia to jedno, a teraz śpiewa i krzyczy jej ból, który jest jego bólem, śpiewa i krzyczy swoje cierpienia a szlochem i jękiem odpowiada mu matka ziemia, rodzicielka jego.

Syn ziemi, człowiek samotny, upadł bezsilny na uznojonej drodze życia. Ból złamał tego, co z matki żywota wyniósł nieszczęsny los! Nieokiełznana gnała go tęsknota za widmem bólu, który sam jeden wszechmocny posiada głos. — Obarczony przekleństwem najdroższych stanął na drodze w dzień tuczy, jak krzew pogięty i z piorunami w zawody rozpaczą grzmiał.

Nad nim burza się sroży, ślepa dola nieszczęsna przykucnęła na drodze, śmieje się dziko i szczerzy zęby i cieszy się, że samotnego człowieka powalił ból.

I przypadł twarzą do ziemi a nagle zerwał się na równe nogi i z grozą i z przerażeniem wyciągnął ręce ku niebu i woła:

O niezgłębione, nieobjęte moce!

Tym strasznym akordem rozpoczyna się ta dzika pieśń — to Introibo tej mszy rozpaczy. W całej literaturze nie znam takiego akordu, który nabiera niesłychanej mocy przez zestawienie go z dalszym ustępem.

MŁODOŚĆ str. 118.

Bo po tym akordzie następuje wielka cisza. Syn ziemi wsłuchuje się w niebo — ale nic prócz czarnej burzy, która się po niem w skłębionych tumanach przewala i znowu pada na ziemię i płacze: skrzydłami trzepoce, jak ptak ten nocny, któremu okiem kazano skrwawionem patrzeć w blask słońca...

Święty Boże, Święty Mocny
Święty a Nieśmiertelny.

I syn ziemi poczyna rozmawiać z swoim Bogiem, prosi go, błaga, wątpi w niego, to znowu się przed nim kaja w bezsilnem zdaniu się na jego wolę, a coraz dusi go ciężkie, chełchające łkanie, Święty Mocny, wybaw nas Panie.

Przed oczyma jego przeciąga wizya tej ziemi wspaniałej, co jako widna i daleka pokryta trupami, których nie było czasu pogrzebać. Mór wybił ludzkie plemię, a ci co zostali wloką się nędzni znamieniem śmierci naznaczeni w strasznej procesyi. Chorągwie trzepocą w wychudłych dłoniach, w rozpalonym blasku ogniem ziejącego słońca złocą się krzyże, jęczą dzwony i łkają i płyną, a śmierć przed tłumem kroczy. I syn ziemi jęczy do Boga: O dzwonu łkające prośby! O szumie wiednących drzew — O Boże, Święty Boże! Święty a Nieśmiertelny!

Cały lud oddał się bezsilny i bezwładny w ręce śmierci, więc i jemu niechaj wykopią samotny grób wśród kopciów krwawników i dziewanny, u stóp próchniejącego krzyża. Albo na szerokiej miedzy, albo tam gdzie parów sączy resztkami wody, lub tam, gdzie w dali pobłyskuje jezioro, gdzie się nad drogą kurzu słup rozbija, gdzie wiatr bezsilny przewłóczy się po zżętych zagonach — tam niechaj kopią samotny grób, — a Ty o Święty, o Nieśmiertelny, który swym jednym oddechem wypełniasz wieków wiek, Ty od powietrza, głodu, ognia i wojny i od szatana, co w dom przychodzi i dusze zwodzi zachowaj nas Panie!

I naraz rozmodliła się jego dusza żarliwem gorącem błaganiem, majaczą mu się małe trumienki, słyszy łoskot grudy, co spada na ich wieka, poszumu wiatru, co rozczesuje liście zapła-

kanej brzozy, widzi wokół zapadłe mogiły, westchnął głęboko A światłość wiekuista biednym ludziom świeci, naraz zerwał się: Jestem! zakrzyknął. Czuje, Bóg do niego schodzi. Tak! Ty jesteś tu zemną! I pada na kolana i kornie bije czołem i za nogi go obejmuje i prosi, prosi, o niewiele, o troszeczkę łaski tylko. Tylko odrobinkę łaski niech spuści na płaczem zamroczone oczy.

Niech deszcz spiekłe łany orzeźwi, niech grad nie siecze zboża, pomór niech nie wybija ostatniej krowy, pszenica niech kąkolem nie zarasta, chmury niech się nie obrywają, a spóźniony mróz niech nie waży ozimin.

I jeżeli o coś poprosić, o łaski trochę, to niech nie będzie potrzeba dzieciom chleba poskąpić, by można ledz we własnej mogile, niech będzie grosz, by dziad mógł za zmarłych zmówić pacierze.

A jeśli ziaren swych łask nie zechcesz równać strychulcem po brzeg swej szczodrej ćwierci, od nagłej a niespodzianej śmierci Racz nas zachować Panie!

Przedziwna jest ta modlitwa w swej niesłychanej prostocie i pokorze, tak się tylko chłop umie modlić, którego nieszczęścia złamały, tak rozłzawioną prośbę umie tylko ten zanosić, co Boga czuje przy sobie tysiąckroć bliżej jak ten, któremu kultura wiarę przeżarła. Tak pokutuje i kaja się człowiek, który w zamian za winy swe niesie pokornie krwawy krzyż i tylko o to Boga błaga, by go ostatniem zniszczeniem nie karał.

Jeżeli gdzieśkolwiek, to tu narysował Kasprowicz najgłębsze i najszlachetniejsze linie w duszy chłopa naszego i w tej modlitwie streścił jego głęboką, z ziemi wyssaną religię.

Ale człowiek samotny, syn ziemi podnosi bunt. Nawet ta nędzna prośba nie wysłuchana. Bóg go wołał, powiedział Jestem, Tak — Jestem, gorycz mu serce zalewa. Jestem! jestem i płaczę... Biję skrzydłami jak ten ranny, jak ptak ten nocny, któremu okiem kazano skrwawionem patrzeć w blask słońca.

I znowu przeciągają ponure wizye przed jego oczyma. Grób kopią u jego stóp, na ramionach krzyża kracze wrona, ludzie się wloką, jak cienie do strasznych grobów — zdaje się, że wszystko wyzwala się z pęt ziemi i wlecze się wraz z ludem do grobu,

dziewanny, krwawniki i bez i wierzby i głogi. Głód zapanował, szatan okrąża ziemię, i brat brata zabija, syn przed ojcem zamyka dom, mord i pożoga wyniszcza świat, lęk gdyby bicz smaga biedny ród potępiony, mór bydło bije, siostry shańbione, potopiły się, złe urąga modlitwie — i coraz groźniejsze i dziksze obrazy przesuwają się przed jego oczyma — włosy mu się na głowie jeżą, oczy z przestrachu z orbit chcą wyskoczyć i z przerażeniem i dzikim obłędem krzyczy ku Bogu, czyż On tego nie widzi? Szatan zwątpienia wpił swoje szpony w jego serce a on z bólem rozpaczy bluźni Bogu:

A, Ty o Boże! O nieśmiertelny! O wieńcem blasków owity! Na niedostępnym tronie siedzisz pomiędzy gwiazdami i głową na złocistym spocząwszy trójkącie, krzyż trójramienny mając u swych nóg, proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złoty i ani spojrzysz na padolny smug!

I w sercu jego rozpasała się piekielna symfonia bólu, rwie się straszliwe Allelujah rozpaczy, przekleństwa mieszają się chaotycznie z krzykami za wybawieniem — szatan przed nim piekło roztwiera, raz jeszcze woła ku Bogu, by świat od szatana wyzwolił, Wal błyskawicą, wal! krzyczy, Niechaj się łamie niech się rozkruszy ta zdrada, która nad życiem i nad śmiercią włada.

Ale cisza, z chmury nie spadł piorun — Bóg milczy — więc na oślep bez pamięci z dziką zapamiętałością klęka przed potęgą zła, przeklina ród swój cały, woła ku Bogu, niechaj dalej płodzi żywoty, by tak klęły jak on, by płakały jak on i marły jak on. Serce mu pęka i z strasznym jękiem pada na ziemię:

O święty nieśmiertelny, święty mocny Boże!

Tu tkwi potęga Kasprowicza. Jego osobiste Ja staje się światem całym. — W własnem cierpieniu pokazał moje i twoje cierpienie i nędze Króla Leara z Biedaczewa i Jana Rudawskiego i Hańki Opieńskiej, odtworzył cierpienie Konrada i szamotania się Kordyana i walkę Jakóba z Aniołem i całą mękę i ból ziemi tej biednej zbolałej ziemi rozesłanej pomiędzy Kruświcą, Gniewkowem a Inowrocławiem.

I to najistotniejszą treścią twórczości Kasprowicza, że nie jest egotycznym. On jedyny wśród nas wszystkich, który się na zewnątrz

rozlewa od środka odbiega, świat cały obejmuje, podczas gdy cała młoda generacya poetów wszystko dośrodkowuje, do swego Ja odnosi.

Wprawdzie i u niego wyskakuje ustawicznie płomień osobistych cierpień — tu i ówdzie tryśnie geyzyrem straszny dławiący ból tego, co sam przeżył, ale w tej chwili roztaczają się szerokie widnokręgi i znowu patrzy jego dusza sub specie aeternitatis.

Dusza Kasprowicza ponura, bo każda głębia jest ciemną i ponurą. Macierz cierpienie owiła kirem jego serce, ból go targa, ale on jak dąb, rozparł się szeroko w ziemi głębokimi korzeniami — żaden huragan go nie złamie. Bo ma w duszy swej to, co przeważa, uszlachetnia i uświęca cierpienie: miłość. Ogromną, szeroką, całą nędzę i niedolę, grzech i cnotę, upadek i wyniosłość obejmującą miłość. Stąd jego uwielbienie dla Shelleya, z nim razem dzieli tę panteistyczną miłość, stąd jego pokora i coraz silniejszy zwrot do absolutu — do Boga.

Kasprowicz jest głęboko religijny, religia jego, to religia każdego rzeczywistego twórcy, co w stworzeniu widzi symbol ukrytej potęgi, znak co »słowo św. Jana« zakrywa, religia św. Bonawentury, co mówi: Verbum divinum est omnis creatura, quia Deum loquitur — i wraz z św. Augustynem czuje i korzy się przed potęgą Boga, co prowadzi rękę artysty i uczy go odtwarzać to piękno co się za wszelką brzydotą przejawów, za całym chaosem zwykłych fenomenów ukrywa. A prosta i czysta dusza jego nie potrzebuje metafizycznych abstrakcyi, filozoficzny a suchy i rozmarzony panteizm nie zadawalnia jego gorącej duszy, rozwiewny, mglisty panteizm Shelleya nie zdołał zaspokoić silnych porywów jego duszy; on ma potrzebę ukorzyć się przed czemś, co przed nim stanie i z nim mówi, ma potrzebę wstrząsnąć hardo głową, pięścią pogrozić to znowu krzyżem paść na wilgną posadzkę kościoła. W ostatnich a najsilniejszych utworach wraca do Boga chłopa kujawskiego, do jego wierzeń, jego modlitw i religijnego kultu. I pocóż mu szukać filozoficznego absolutu, kiedy absolut ten w wierzeniach ludu daleko głębszy, tajniejszy i więcej groźny i majestatyczny aniżeli we wszystkich filozofiach razem od Talesa z Miletu aż do Szopenhauera!

MŁODOŚĆ str. 122.



MŁODOŚĆ str. 123.

STANISŁAW BARĄCZ

ŚMIERĆ.

Cicho, jak światło i ciemność w dal niezmierzonych obszarów,
Idzie bezwładnie wciąż naprzód, miarowym chodem zegarów;
W twarzy jej pięknej, wciąż młodej, zmęczonej wiecznem cierpieniem
Uśmiech anielskiej litości igra z nadziemskiem marzeniem

O światach jeszcze nieznanych. Idąc zamknięte ma oczy
I wielki spokój na czole we wieńcach siwych warkoczy.
Siwe jej szaty; przed sobą czarny ma przetak; z przetaku
Wciąż czerpiąc sieje dokoła garście siwego ziarn maku.

Z cichym szelestem mak sypki, mak siwy pada powoli,
Gdzie padnie cisza ogromna, kamienna cisza na roli,
Gdzie padnie, płynie sen mętny, sen niezbłagany, sen szary

I chłonąc w sobie kształt wszelki, ogarnia życia bezmiary.
A ona idzie wciąż naprzód, idzie bez chwili wytchnienia,
I sieje, sieje, wciąż sieje, mak wieczystego milczenia.

MŁODOŚĆ str. 124.

KAZIMIERZ LEWANDOWSKI

KLĄB CHRYZANTEMÓW.

STANISŁAWOWI WYSPIAŃSKIEMU.

Siedział w rogu salonu, na krześle pluszowem, wygodnem, sam, spokojny i cichy, zamknięty w sobie, zadumany — a poza nim, w wazonach, sterczał aż do sufitu, kląb różnobarwnych chryzantemów, uroczych dzieci Japonii, jak namiot nad nim rozpięty, jak wachlarz rozłożony, jak bukiet olbrzymi, jak gaj.

A w każdym wazonie stoi łodyżka wysoka i wiotka, o gałązkach nerwowych i nikłych.

A listki mają ozdobne, powykrawane misternie, niby wiązanki hieroglifów.

A wszystkie razem zbite w nieprzenikniony gąszcz, w zieleni istny mur.

A oto i kwiaty same.

Kwiaty-pompony o kędzierzawych główkach.

Kwiaty figlarne i filuterne, wyściubiające główki z gęstwy, niby pisklęta skryte w puchu matczynych piór; oglądające się za siebie, gwarzące z sąsiadkami i szczebioczące gwarnie.

Były główki błękitne i białe — lica dziewicze czyste i zadumane.

Też były zuchwałe, żółte łebki podlotków.

I lakowe czuprynki namiętnych kochanek.

I anioły idące za arką modlitwy.

I tęskniące do wichrów księżniczki.

Zakonnice z główkami bakchantek.

Były główki znudzone i piękne.

Ufryzowane i w loczkach, ubrane balowo, przykute do listu o czarnych pieczęciach.

I marzące zabronione dziwy.

I skarżące się w spojrzeniach szału.

I piękności przeznaczone śmierci.

A prawie wszystkie smutne.

Pieścidełka cieplarni i męczennice handlarzy.

Z rozwitymi włosami, niby cudne siostrzyce meduzy, wężowymi upowite sploty.

Niby ptactwo zamorskich gaików przed nielitosnym truchlejące wężem.

I jeszcze tyle, tyle innych.

Ze wszystkich biła woń, raz przejmująca i ostra, to znowu łagodniejsza, podobna woni werweny.

Albo ożywcza, buchająca zdrowiem i siłą, zmieszana woń melissy i hyzopu, żywych i zasuszonych ziół — jakaś znachorska esencya klasztornego wirydarza.

A inne wionęły obłoczkiem najcenniejszego pudru, lub pyłkiem niewidzialnym najwyszukańszych goldkremów; powiewem treflowych esencyj, lub tajemniczych kosmetyków wschodu; przywodziły ku myślom wonne echa sułtańskich alkówek i ispahańskich budoarów.

Woń ta go upajała — z fotelem swoim się wsunął i zagłębił w sam środek kwiatów, ustawionych amfiteatralnie na marmurowych schodkach.

Siedział skryty w chryzantemach, wsłuchany w melodyę burzliwego walca, jakiego, na głośnym fortepianie, wykonywał z brawurą młody wirtuoz.

Co chwila jego twarz przebiegał dreszcz spazmatyczny, w miarę jak ton głośniejszy dobywał się z fortepianu.

To znów twarz jego oblewał zachwyt, dobyty z jego chorych nerwów, rozkosznie wstrząsanych muzyką.

Słuchał i cierpiał — walc poruszał go do głębi.

Reszta towarzystwa rozmieściła się po wszystkich innych ustroniach olbrzymiego salonu.

Z sufitu, jak pająk olbrzymi, na własnej nitce, spływał nad liczne grono świecznik. Z każdej jego nóżki strzelały promienie na ludzi, na dywany wzorzyste, zaścielające posadzkę, miękkie i dyskretne, na makaty gładkie, pokryte haftami z przyblakłego jedwabiu, na kotary ciężkie, na firanki przeźroczyste.

Koło drobnych mebelków, z amerykańskiej sosny, siedziało grono młodzieży — dziewczęta w jasnych sukniach, istne boginki kwietnia i maja, puste i płoche, — szyje i ręce w koronki oplecione, młode czoła w puchu loczków i w nimbach filulek, oczy wabiące i żartobliwe — mężczyźni we frakach, o twarzach banalnych, czerwonych, każdy do drugiego podobny, każdy w ogniu towarzyskiego dyalogu, tryskającego jałowym śmiechem, niskim dowcipem, płaskiem pochlebstwem. Śmiali się głośno i czasem przygłuszali muzykę.

Fotele ciężkie, obite materyą jaskrawo czerwoną, wygodne i szerokie, zasiadło grono starszych panów i pań, prowadzących rozmowę poważną, decydującą, bardzo rozsądną,..

W końcu, na kanapach, siedziały staruszki i starcy, zdenerwowani lub spokojni, bez wzruszeń, bez uśmiechów, — byli podobni do posągów niemych.

A młody wirtuoz grał z taką werwą...

A chryzantemy poczęły wydawać tę woń, jaką czujemy nieraz, zbliżając się do szpilkowych lasów.

Naprzeciw niego, na drugim końcu salonu, siedziała kobieta, sama, — ona była jak jesień, jesień dojrzała, rozkoszna i wonna, lecz drżąca za każdym powiewem nowego wspomnienia, lub nowej myśli... była jak jesień chryzantemów...

Twarz ogorzała, rumiana rumieńcem almei, zmęczonej tańcem, rumieńcem, który nie ustępywał z lic, lecz na nich zakrzepł i zdawał się je przepalać. Oczy miała czarne i lśniące, ale był w nich jakiś ślad pokonanej już burzy, jakiejś zatrzymanej zaklętej tęczy, rozczulenia bez granic, zapatrzenia się w ostatni luby cel, jakieś zawieszenie spojrzenia, jakiś omdlewający letarg zmysłów, jesienny, cichy...

...Ach! skrzesać z tych oczu ogień, z letargu dobyć głos, rozpętać w jej ustach okrzyki ekstazy a w zmysłach szał!...

Słodycz jaka z tych oczu szła, oczu pełnych zaledwie dostrzegalnego uśmiechu, rozlewała się po niej i widać ją było w pochyleniu głowy, w zgięciu szyi, w wypukłości łona, w założeniu rąk, w całej postaci.

Siedziała spokojna, jak czarujace bóstwo września — na jej twarzy tylko igrała dusza, dusza bogata, kochająca i trwożna o swoje skarby.

Rozkochanie namiętne i zarazem lękliwe ubezwładniło ją, luba ociężałość jakaś rozlała po niej omdlewające zorze — zachodzącego słońca.

Słuchała muzyki — zdala od niego, dolatywała ją woń chryzantemów, zmieszana z ciepłem świecznika, orzeźwiająca i drażniąca.

Ona marzyła o dziwnych porywach własnego serca, tak falującego zmiennie, jak ten walc trzepocący melodyjnymi skrzydłami o jedwabie makat i o ludzkie nerwy...

Czasem na niego spoglądała.

On słuchał muzyki, oddychał wonią i patrzył w nią...

Nikt nie przerywał milczącej rozmowy i zazdrosnej samotności tych dwojga ludzi.

Umieli ją sobie zresztą oddawna między ludźmi wywalczyć.

Dziś, między nimi zaczynał się tymczasem, zawiązywał i przebiegał pierwszy akt salonowej znajomości, tak niespodziewanej, może krótkiej, może ważnej dla nich obojga...

Walc szemrał, szumiał i kwilił...

On zdawał się zapominać o tem, że jest śród ludzi, że ktoś może na niego zwracać uwagę, może iść za jego wzrokiem, znaleść przedmiot jego zapatrzenia, odgadywać grę jego oczu i ukryte drżenie jego duszy...

Utonął w oczach, siedzącej naprzeciw, kobiety-jesieni...

Dziwił się, prawie oburzał, że nikt więcej na nią nie patrzy, że nikt koło niej nie siedzi, że nikt jej odczuć nie umie — ale i cieszył się skrycie, bo miał niepodzielną rozkosz rozmowy z nią samotnej, bez przeszkód, świadków i bez rywali; rozmowy, która, jeśli mu dawała napój cierpienia, to tylko z jej, jednej, jedynej, już prawie ukochanej dłoni...

Nie znał jej dotąd, zobaczył ją przed chwilą, kiedy służący wypowiedział głośno jego nazwisko przed tymi ludźmi. Ten jeden akt wypowiedzenia nazwiska dawał mu prawo przyjść do niej i zacząć rozmowę. Nie czynił tego jednak. Nie spieszył się. Wiedział, że to musi nastąpić, że mówić z nią będzie.

Tymczasem chciał poznać w niej to, co się przebija w oczach, co przez oczy mówi...

I patrzył na nią, nie ukradkiem, nie chwilami, nie przerzutami oczu z osoby na osobę — ale otwarcie, długo, ciągle, bez przerwy i upamiętania..

Zdradzał się, otwierał tajniki swych głębin, nie dbał o to, chciał się zdradzać, zdradzić się — przed nią. Utonął w tych oczach czarnych i zadumanych rozkosznie, pławił się w nich oczyma swemi, przepadł w nich i zgubił, zbłąkał się w nich bezpowrotnie.

A struny klawikordu rozjęczały się walcem we wszechwładnych uściskach rąk wirtuoza — a chryzantemy zapełniały cały salon swą lekko gorzkawą, drażniącą wonią i pogrążały w niej ludzi i światła...

Ona jednak czasem tylko spoglądała na to zapamiętanie, może je rozumiała, może je odczuwała, nie patrząc; może jej dobrze z tem było, może tylko, jakby te oczy skontrolować pragnęła, spoglądała w nie czasem, a widząc, że ciągle patrzą, ciągle tesame,

wbite w nią i z namiętności jakby zaciśnięte — pogrążała się dalej w kontemplacyi swych marzeń...

O melodyo rozpłyniona! O chryzantemy woniejące!

On jednak zdawał się coraz bardziej niepokoić.

Zrazu oczy jego studyowały, badały tę kobietę, potem, widząc, że jej nie czynią przykrości, że jej nie żenują i nie drażnią, — pogrążały się w uczuciu przeczuwanej wzajemności...

Walc szumiał...

Tak trwało jakiś czas. Teraz zaczął rozpalać swą wyobraźnię, patrzył kolejno na jej ręce, zaróżowione, ciepłe, gorące; potem na biust jej pełny, urzeźbiony dla rozbudzenia oczu, dla krwi wzburzenia; na owal bioder mistyczny i odurzający; potem na nóżki małe, klamerkami pantofelków spięte — które, gdyby spadły, pozbawiłyby go przytomności...

Obejmował ją całą spojrzeniem, obejmował ją spojrzeniem całą, spojrzeniem pieścił ją — i czuł już w sobie pożądań pierwsze drgnienia...

Potem już wzrok swój gorący napełniał jednem pytaniem cichem .. pytał i czekał, czekał...

Walc kwilił...

Ona, ciągle spokojna, siedziała bez ruchu, pogrążona w kontemplacyi swych uczuć.

To go niecierpliwiło, — chciał odpowiedzi, równie gorącej, równie namiętnej, równie do głębi przenikającej — jak chryzantemów kląb.

A walc drgał coraz szybciej...

Patrzał... lica poczęły mu płonąć, gorzeć... usta rozpaliły się gorączkowym rumieńcem, oczy przybrały wyraz błagalny, natrętny, natarczywy...

Ona siedziała bez ruchu, spokojna w swej kontemplacyi pół uśmiechnionej...

O chryzantemy!...

To go poczęło drażnić i gniewać.

Ręce zacisnął, nerwowo zgrzytał końcem trzewika o wazon, patrzył w nią niemal ze złością, z nienawiścią...

Bezsilny!...

Walc szklił się rozdźwiękami w melodyjnych toniach.

To go znużyło, wyczerpało...

Ręce opadły mu na poręcz fotelu, nogi wsunął pomiędzy wazony, głowę opuścił na piersi — a jednak w nią patrzył, patrzył, patrzył... Czekał.

Wreszcie drgnął, głowę wsunął do kłąbu, odetchnął całą piersią, zda się wypoczął, czy też siłą wrażenia na nowo zrywał się ku niej.

To chryzantemy wlały mu nową moc...

Kobieta ta ogarniała go coraz więcej, napełniała pustkę jego duszy, rozpierała ją niemal — bólem.

A walc szeleścił cicho...

On oczy przymrużył i pytał cicho swej duszy, czegoby chciała, pragnęła — a dusza odpowie głośno, porywczo, popędliwie, że chce tej drugiej duszy...

I pytał swego ciała, drżącego w gorączce pragnień, czegoby chciało, pragnęło — a ciało wydaje okrzyk żądzy, rozpętanej i groźnej i krzyczy, że chce tego drugiego, cudnego ciała.

Dusza i ciało jego wzięły się za ręce, jak siostry i szły go porwać naprzód...

Chryzantemy wonią buchnęły...

Potem nie otwierał już oczu przez chwilę, by nie drażnić zmysłów, by ich rózgami szaleństwa nie siec... boleśnie.

Już widział konieczność powierzenia swym ustom swej tajemnicy — widział konieczność rozmowy z nią, konieczność pytań, błagań, próśb...

Drgnął, bo znów inne tony od klawikordu biegły do niego — odpychające, szorstkie... Zdało mu się, że gorycz kwiatów zatruwa go.

I począł bać się o jej uczucia, o wolność jej, o dobroć... i o odpowiedź jej...

Oczy otworzył.

Siedziała, — rozkoszna, cicha i senna — kobiecy wrzesień, — patrzyła w niego!...

O ty melodyo! o wy chryzantemy!

Uśpijcie opór jej, miejcie litość nad jego miłością!

Stan jego duszy dla niej był kartą czytelną, otwartą — znała to wszystko i przeżywała to wszystko — a teraz, temu pobłażała może?...

Szydziła może?... Dziwna, szalona chwila!...

Młody wirtouz kończył walca, — ale to zakończenie zbliżało się tak powoli, tak powoli... Zda się, że skończyć je można jednym, ostatnim akordem, — nie, jeszcze cała kaskada akordów monotonna, drażniąca się ze słuchaczem...

On już dłużej wytrzymać nie mógł.

Spojrzał na wirtuoza, tem spojrzeniem, co palce od klawiszów odrywa, lub do nich przybija.

Chciał teraz mówić, on, on do niej...

Walc zgasnął.

Cisza, — nastała cisza. Rozmowa ucichła. Młodzi znienacka zaskoczeni, drgnęli z pół otwartemi ustami, — starsi, przywykli do koncertów, z wielkim taktem ucichli i do oklasków złożyli ręce. Staruszkowie siedzieli niemi, do martwych posągów podobni.

Nastała cisza, salon olbrzymiał w ciszy, zda się, że nie mógł już słuchać tych rozmów, — po tej muzyce, — wypędzał ich z siebie, jak morze wyrzuca piasek na brzegi.

Pierwsi wyszli młodzi, — z wrzawą wodospadu.

Nie spojrzeli na niego i na tę kobietę milczącą...

Potem szli starsi strumieniem wolnym, spokojnym chodem rzeki uregulowanej.

Przechodząc koło nich, myśleli zgodnie:

— A! to ten samotnik, a to ta marzycielka!

Staruszkowie z trudem opuszczali kanapy, i przesuwali się korowodem kalek, idących do kaplicy, krokiem nieuleczalnych.

Mijając ich, myśleli zdziwieni:

— A? czemuż oni nie idą, może pójdą.

On drżący zbliżył się do kobiety i podał jej ramię, czekając trwożnie, aż ona mówić zacznie. Widząc to, zawiązała rozmowę.

Zniknęli w ciepłych, oszklonych salkach cieplarni.

Tam znów kwitnęły chryzantemy. Zbliżył się do nich i wybierając kwiaty, podawał je towarzyszce, — a potem zaczął mówić szybko, gorączkowo, chciwie, najdroższe klejnoty swej duszy sypał dla niej, tam przy cieplarnianym gaju swych kwiatów...

A ona pół w zadumie, pół w uśmiechu, pół w smutku i pół w tęsknocie — w swój wachlarz zapatrzona, na nim mu pisze słowa — uniesień i rozpaczy — zerwanym kwiatem chryzantemów...

On patrzy na wachlarz uważnie, pojmuje, oczy w kwiatach jej bukietu kryje napełnione łzami i pochyla się ku jej zaróżowionej dłoni, łkając jak dziecię ze szczęścia, — tam w cieplarni, pod chryzantemów kłąbem...

GWIAZDY WYDAŁY NADEMNĄ SĄD —
WIECZYSTA CIEMNOŚĆ, WIECZYSTY BŁĄD.
TUŁACZEM BĘDZIESZ TY I TWÓJ RÓD,
SERCA STRASZLIWY DOJMIE CIĘ GŁÓD,
ZAPADNIE KAŻDY POD TOBĄ LĄD —
WIECZYSTA CIEMNOŚĆ — WIECZYSTY BŁĄD.

A GWIAZDOM ODPARŁ KRÓLEWSKI DUCH:
WAM PRZEZNACZONO OKRĘŻNY RUCH,
MOJEJ WOLNOŚCI DOWODEM BŁĄD —
ME SERCE DŹWIGA W GŁĘBINACH LĄD
SKRZYDLATE ŻYCIE, PŁOMIENNY ZGON —
ROZKOŁYSANY WIECZNOŚCIĄ DZWON.

T. MICIŃSKI.

MŁODOŚĆ str. 132.



MŁODOŚĆ str. 133.

WASYL STEFANYK

WECZIRNA HODYNA.

Ne mih sisty tak jego szczoś hnało wid stiny do stiny. Chodyw ta chodyw po chati. Obstanowa chatna i kuty zamazuwałysia i propadały w weczirnim sutinku, a w hołowi zarysowuwałysia dawni obrazy.

»Otse taka chwyla, koły mali dity wybihajut' z chaty na tołoku i hrajut'sia duże wesełо. nerwowo. W taku poru diwczata ne chotiat' honyty towaru do domu, bo każut'. szczo jak zoria weczirna na nebo wychodyt', to hołos po rosi stełyt'sia. I spiwajut', aby hołos steływsia. A w zymi to mamy priadut' kużil taj śpiwajut' swoji diwoćki śpiwanky ałe tak sumno jakby banuwały za mołodym wikom; Dity schodiat'sia razom do kupy i szepoczut' na peczi taj zasyplajut' bez weczeri. Czudna jakaś weczirna hodyna«.

Chodyw ta hładyw sebe rukoju po czoli, jakby chotiw usi swoji dumky zamknuty w hołowi, aby ne powylitały, bo szczyro chotiw jich perehaduwaty.

»Ba, ne znaty szczo win dije? Takyj buw dobryj towarysz. Pamiataju, jak my raz sydiły u neho w sadku. Widaj todi win howoryw za ti bili chmarky. Biła chmarka z zołotymy berehamy sunesia po nebi ta łyszaje poza soboju bili liliji, a sama jde dali ta sije, sije toho ćwitu po synim nebi taj za hodynu nema ni chmarky, ni lilij. Łysz hołube nebo morszczyt'sia jak hołube more...«

Chodyw, a oczy jeho stawały taki dobri jak u dytyny.

»Ot, wżem zabuw koneć. Prychodyt'sia wże mamyni śpiwanky zabuwaty. A szcze do nedawna tiamyw. Zaraz...

»...Ja zajmyw z Marijkoju wiwci w połe, w sinożata. Marijka wyszywała sobi rukawy, taki u fasolky. Fasolky wyszywała na czerwono, chwostyky synio, a meżi pomiż fasolkamy obkydała czerwonoju woliczkoju. Ja musiw zawertaty wiwci, bo Marijka buła starsza. Ałe buła odna wiwcia ta taka włazływa, szczo żadnij si-

janci ne daruwała. Taj ja skynuw okrajku i my jeji sputały. Buw spokij. Ja bihaw rozperezanyj popid werby ta swystaw ta hałasuwaw na wse połe. A potim Marijka zakłykała mene jisty. Jiły my chlib i syr z łystka...«

Chłopjaczi spomyny honyły jeho jak son na jakiś ćwitysti pola, ssczo kwitiw na nych duże bohato i można jich rwaty, rwaty...

»Potim pryjszły do nas mama. Wertały z pola, bo jisty nosyły robitnykam. Dały nam mołoka i ohladały Marijini rukawy. Taj nakazuwały Marijci, aby nikoły ne brała try nytci łyszeń dwi poza ihłu, bo fasolky budut' czerewati. A meni kazały, aby ne kaczatysia z hory, bo soroczku pidru i pokaliczusia... »Ty, parubcze, ne brykaj jak kiń po polu rozperezanyj ałe sydy sobi koło Mariji ta oweć pylnujte«...

»A ja łeżaw koło mamy ta łupyw nohamy w trawu, a mama kazały; ty ne hoden ani hodynky tycho posydity? Taj todi złetiw buziok na młaku taky koło nas. Mama jmyły mene, posadyły na kolina taj poczały spiwaty:

> Oj, ne kosy, bużku sina,
> Bo sia zrosysz po kolina.
> Ta naj tota czajka kosyt',
> Szczo na bakyr szapku nosyt'...

Zbyraw usi syły pamiaty, aby nahadaty resztu spiwanky i ne mih. Oczy posumniły.

»Zaraz, zaraz... Mama pijszły do domu, a ja bihaw do weczera za bużkom ta pryśpiwuwaw: Oj, ne kosy, bużku, sina...«

Ne mih, zitchnuw i czornyj obwid koło oczyj szcze bilsze poczorniw.

»Boże myłyj, wże ne hoden ja nadtoczyty toi nytky, szczo urwałasia! Wona wże todi rwałasia, jak myni mama myły nohy i czysti onuczky wydyrały z staroji soroczky, a tato czobitky obterały. Wsi my płakały, bo mene puskały w świt na nauku. I chodyw ja po tim świti i hnuwsia jak łoza dla kawałka chliba i czuw na sobi sotky hordych oczyj«.

Machnuw rukoju jakby chotiw widihnaty hordi oczy.

»Po dowhych rokach ja pojichaw do mamy. Tata wże ne buło, Zhorbłena mama z kosturom w rukach sydiła na pryspi ta hriłasia na sońci. Ne piznała. Potim mene prywytała.

»Nasza, synku, Marija umerła. Ja tobi ne pysała, abyś ne sumuwaw. Ta jak umerała, to wse za tebe dopytuwała. A my duryły, szo ty pryjidesz. A toho dnia szo umerła, to kazała, szo koby tebe chot' kriż wikno, chot' czerez porih wydiła. Taj tak taki wmerła«...

Otak rwała sia ta nytka.

»Piszły my z mamoju na mohyłu. Łedwo dobyłysia. Adi, synku, oce Marijin hrib. Ja wże nasadyła i ruty i barwinku i chrest dała zmaluwaty, ałe szcze wyszeńki ne posadyła aż w oseny. Siły my koło hrobu, a mama opowidała za bidu Marijczynu. Czołowik złyj, dity dribni, bida w chati.

Witer zduwaw z wyszeń biłyj ćwit. Ćwit padaw na hrib i na nas. Zdawałosia szczo toj ćwit zrostajesia z mamynym, biłym wołosiem i szczo rosa z ćwitiw spadała na mamyne łyce. A ja nahaduwaw sobi jak my z Marijkoju wiwci pasły...«

Horiaczi ślozy wpały na stił.

«A potim i mama wmerły. Hrib mamyn nedałeko wid Marijinoho. Ćwit z mamynoji wyszeńky padaje na hrib Mariji, a z Marijinoji na mamyn hrib. Buw ja tam raz. Sydiw meży tymy hrobamy i nahadałasia myni mamyna śpiwanka... Posydiw taj pijszow. Łyszeń wysznewyj ćwit z hrobiw łetiw za mnoju, jak kołyby tym ćwitom mama i sestra prosyły, abym ne jszow...«

Szcze dowho chodyw po chati ta neświdomo szeptaw:

Oj, ne kosy, buźku, sina,
Bo sia zrosysz po kolina.
Ta naj tota czajka kosyt'.
Szczo na bakyr szapku nosyt'.

SFINKS*).

Człowiek czynu.

Historyczne »gdyby«, odnoszące się do zdarzeń, zarzucone już od dawna; lecz w określaniu istoty osób działających, zwłaszcza gdy idzie o dokładne oznaczenie pojęcia, ma swoje miejsce. Ryszard III u Szekspira woła rozpaczliwie o konia: radzić mu, teraz, aby najprostszym sposobem w konia się zamienił, jest nieco spóźnione. A tylko w takim razie możnaby nazwać go człowiekiem czynu, za jakiego, wedle pozorów, uchodzi, a jakim, z tego widoczna, nie był. Nie ze względu na rezultaty, lecz ze względu na stan psychiczny, który cechuje człowieka czynu, a którego Ryszardowi III. brak. Atoli, czasy metamorfoz, dziecinne, już melancholijnie dawno minęły: a były ciekawe i piękne. Czasy metamorfoz, intellektualne, istnieją ciągle i z niezmierną nudą pociągną po pyłem sproszonych gościńcach ku przyszłości: a są ciekawe i piękne. Nie różnią się niczem: naczelną ich zasadą harmonia: ta, która niekoniecznie na kołysaniu nerwów polega. Oto człowiek, rozpaczliwie wołający o ideę, o myśl, którąby zmianę, chociaż drobną, stworzyła. Czujny towarzysz podsunie mu złośliwie pomysł gwałtownej przemiany na ideę: nie zda się na nic, pomysł musi wyjść z niego samego. Lecz idea — czem jest? Uchodzi za nią przeważnie postulat, albo program reform społecznych, hasło pewnej walki stronnictw, a więc wyraz, dookoła którego szeregują się ludzie, żeby go »urzeczywistnić«, t. zn. wytworzyć przedmiot, któryby wyrazowi odpowiadał. Rzecz niemożliwa. Odwrotny jest proces zawsze. Idee nie urzeczywistniają się w rzeczach, lecz na papierze! lub czem innem; rzeczy urzeczywistniają się w ideach, które w ten sposób, jako formy piękna (jakże mało tych, którzy tak je pojmują), wprowadzają ład i harmonię w zjawiska. Wyobraźmy sobie teraz człowieka, który pewnego dnia doszedł do tego przekonania, że jest rzeczą, faktem zupełnie nowym, jedynym, faktem, który rozszerza granice świata, pcha go na inne tory właściwie, nadaje mu nową barwę, nowy ton, jak bądź: schwytawszy się na takim gorącym uczynku, uśmiechnie się, a może i nie, mądrze: znalazł ideę, urzeczywistnił się w idei człowieka. Jestto spostrzeżenie zbyt banalne, żeby w tej chwili nie nasunęło się wszystsim. Taka jest bowiem siła banalności... Ideału

*) »Młodość« nr. 4 i 5.

napowietrznego stworzyć nie można, trzeba zamienić się w ideał: nazywa się to w bieżącym języku uprawiać egoizm jako rzemiosło. Od samego początku dwa punkty ustanowić należy: człowiek, który chce nadać kierunek drugim; i człowiek, który chce nadać kierunek sobie (oczywiście sobie nie na przyszłość, bo byłoby to pędzenie za własnym ideałem niedościgłym, za własnym swoim cieniem, za samym sobą, lecz na teraźniejszość). Historya, psychologicznie przejrzana, uczy, że tamten, w jakiejkolwiekby szacie się jawił, nie dokonał niczego, chociaż wiele robił, ten zaś nie robił nic, a dokonał wiele. Człowiekiem czynu, ciągle ze względu na stan psychiczny, będzie oczywiście nie ten, kto pozornie za niego uchodzi, lecz ten, który, wzniósłszy się do stanu idei, nic nie robi, nic działa, a przedewszystkiem nie mówi: jest niemy, jak przyroda, ciągle zapatrzony w taneczne ewolucye swej istoty. Nie może zresztą mówić, idea mówić już nie umie, umie tylko poruszać się, odciskać się sobą na przestrzeni, zmieniać położenie i ruch zjawisk, umie tylko czynić, jest czynem. Widzimy, jak w tym punkcie początek i koniec zbliżają się ku sobie: złoty wiek przemian ciągle jeszcze istnieje w swoich dwóch obliczach: dziecinnem i intelektualnem. Niemość należy określić: fakt wyrażania się jest powszechny — sposób podlega prawidłom względności. Więc człowiekiem niemym kto jest? Taki, który nie daje się słyszeć, więc taki może, który mówi do głuchego? W sztuce tylko oczy są absolutne, niezależne. Mówienie nie obowiązuje, jest nawet wprost wyparte.

Na każdem miejscu i o każdej dobie
Byłam i będę przy tobie:
Każdą myśl twoją, każdą chęć twą truję,
Każdy twój poryw, każdy czyn twój psuję,
Jestem twą klątwą, twą klęską żywota
I nic cię nigdy nie wyrwie z mej ręki;
Niczem jest strata, ucisk i zgryzota
Wobec straszliwej mej męki.

Wiersz ten, który jest początkiem dłuższego utworu, pełnego podobnych wyliczań aż do końca, napisał p. Tetmajer i zatytułował go »Ironia«. Jestto doskonały przykład tego, co nazywam mówieniem: stan, w którym słowo i czyn są oddzielone od siebie niezmierną przepaścią, stan, w którym rzecz mająca się urzeczywistnić (ironia), jest osobowym bogiem od dawna już istniejącym. Co bowiem »Ironia« ta wyraża psychicznego: o ile zmusza do uwierzenia w swoje istnienie? Zważmy, czem jest ironia jako pojęcie estetyczne. Wprawdzie bardzo często eleganccy panowie i eleganckie panie mówią ironicznie, ale, jak wiadomo, z estetyką

nie mają nic wspólnego. Wszakże ironia, to nie coś, co poza człowiekiem, lecz co w nim, jako siła twórcza, nie niszcząca. »Niszcząca« jest, o ile, bardzo często, wyplenia zachwaszczony grunt, o ile stara się wydobyć czyste formy, bez domieszek. Trzeba koniecznie uprzytomnić sobie człowieka i zauważyć w nim górujący pęd do harmonii, pęd do niszczenia jest także pędem do harmonii. O Grekach opowiadają podstarzali nieco ludzie z pewnem zdziwieniem, że był to naród, który na każdym kroku widział bogów. O ile te czasy już teraz minęły? Wszak człowiek nie zmienił się wcale. O ile więc »ironia, ten zgrzyt, ta dysharmonia, ten tragiczny hamulec wszystkich lepszych wzlotów«, również nie jest bogiem, harmonią, formą piękna, to znaczy rzeczą, którą stworzyć trzeba jak samego boga? O ile nie jest światłem i gestem indywidualności, który skupia w sobie sprzeczne światy, zjawiska? Ironia jest więc twórczem słowem, które w swojej niemości, staje przed okiem, jest wnętrzem ziemi, na której powierzchnię wystrzelają kwiaty słów. W utworze p. Tetmajera są tylko ciągłe zapewnienia, które do niczego nie obowiązują. W tym wierszu, widzimy, poeta mówi, nie czyni, ironii nie sprowadza do stanu istnienia, ironia jest daleka od tego wiersza. Brak mu naiwności w najobszerniejszem znaczeniu; nie umie wyzbyć się intellektu, aby taką rzecz, jak ironia, zamiast inteligentnie omawiać, naiwnie działającą pokazać. Nie umie być niemym jak Sfinks. Odrobina poezyi, jaka tkwi w tym wierszu, nie z ironii pochodzi, lecz z przygnębienia, z monotonii, nieświadomie uzyskanej.

Wróćmy do człowieka czynu. Czem jest w mniemaniu powszechnem? Mniemanie powszechne nigdy prawie nie czerpie swych pewności ze stanów psychicznych, z prawdy, lecz z pozorów, uważać więc będzie za człowieka czynu tego, kto umie wykazać się rezultatami. W ten sposób jednym zamachem wypiera z tego obrębu cały zastęp zjawisk ukrytych, które, one właśnie, czyn stanowią. Typ człowieka kontemplatywnego jako harmonijny i typ człowieka aktywnego, w życiu i w sztuce, uchodzą z przed oka mniemania powszechnego. Typy te są skrajnymi biegunami, stykają się więc ze sobą w ostatecznych rezultatach. Artysta, reformator, filozof, kaznodzieja, o ile nie zdołają dokładnie uświadomić sobie swego chcenia, zboczą na fałszywą drogę nadawania kierunku innym. Są wszyscy tymsamym typem kontemplatywnym, który tylko w razie najwyższej świadomości pozostanie sobą. W historyi typ ten występuje jako »człowiek czynu«, jako altruista i jest tylko dowodem, że nie działał świadomie, stosownie do swej

istoty (Savonarola, Skarga, Schopenhauer). Zajął stanowisko pośrednie między zupełnym człowiekiem kontemplatywnym a »człowiekiem czynu« mniemania powszechnego. Jako taki żadnych śladów nie pozostawił po sobie, chyba tam, gdzie był sobą. Istotnie: Skarga np. albo Schopenhauer nie znaczą tem, że starali się nadać inny kierunek drugim, nie znaczą jako ludzie, pod których wpływem pewna strona psychy ludzkiej, choćby tylko na krótki przeciąg czasu się zmieniła. Znaczą jako artyści: oczywiście dla drobnej garstki, dla której ten przypadkowy rozdział, to rozproszenie ich istoty, jest widoczne. Reszta pozostała chyba taką, jaką była przedtem. Człowiek zaś czynu mniemania powszechnego: jak można było ustanowić ludźmi czynu osobniki (politycy, pół-artyści i t. d.), które wyrażają się w czasie przyszłym, w których wszelka cecha czynu, psychicznie, jako samorzutnego wyrazu człowieka samego i całego, jako stanu, w którym czyn i człowiek utożsamiają się zupełnie, zanika absolutnie? W przeciwstawieniu do tego człowieka, bliżej przyrody, w teraźniejszości, człowiekiem czynu będzie, kto żyje, czyni. Jest bezimienny, występuje tylko w sztuce, gdzie artysta stawia go przed oczy ludzkości w niemej harmonii czynu bezświadomego, t. zn. w stanie, w którym świadomość i czyn pokrywają się wzajem. Na drugim krańcu, jak najdalej od przyrody, człowiekiem czynu będzie, kto świadomie zamienia się w czyn. Oba przypadki jednym są właściwie: typ kontemplatywny i aktywny na obu biegunach stykają się ze sobą, stanowią harmonijnie niemego człowieka. Czyli: pierwotnie, dziecinnie, bez intellektu, naiwnie; wtórnie, starczo, intellektualnie, naiwnie à rebours: trzeba mieć potężny intellekt, żeby módz się go wyzbyć, żeby czuć potrzebę wyzbycia się go. Słyszeć się dają, u najbardziej nawet jasno patrzących i widzących, przy końcu jakiejś epoki życia, sentymentalne nawoływania o powrót do stanu pierwotnego, do naiwności. Dziwna, że nie zdają sobie sprawy, że nie czują nawet dreszczu złowieszczego Minęło. Nieodwrotnie. Można czasem zauważyć, jak ślizga się po chodniku człowiek wybrednie ubrany. U kobiet szczególnie: wyrafinowanie dochodzi do drugiego swego bieguna, staje się naiwnością, szata i człowiek są jednym organizmem. Trzeba wreszcie uwierzyć, że i typ kobiety nawskroś intellektualnej istnieje.

W owych czasach sentymentalnych nawoływań wytwarza się hałaśliwy nadmiernie kult i podziw, (czujecie, jak sztuczny) dla jaskrawych kolorów dziewek świątecznie przybranych, dla grubych rąk i czerwonych. Następuje powszechna dezercya, zadawanie kłamu własnej istocie, gwałtowne wpieranie się w obcą ramę, która

sama dla siebie, na swoim biegunie, piękna jest bez tego. Dawniej uprawiano idylle pasterskie. Czasy bynajmniej się nie zmieniły. Różnica drobna w tem, że dzisiaj biorą bardziej poważnie, bardziej na sposób pedanta, prawiącego kazania o spokoju ducha człowiekowi skrajnie porwanemu namiętnością. Nie powrotu trzeba, lecz silniejszego wspięcia się wzwyż ku naiwności, tej, którą wytwarza potężna praca intellektu. Naiwność, przyrodzoność, genialność, szczerość, prawdziwość: pojęcie jedno, odwieczne prawo rządzące człowiekiem, w życiu wyrażającym się znikomo, w sztuce nieśmiertelnie. W obu razach harmonia, czyn, naczelną jest zasadą. Niemość. Sfinks się nasuwa.

Sfinks jest »zagagdką«. Co zagadkowego ludzkość w nim wyczytała? Jego złożoność, jego postać dawna, pół-zwierzę, półczłowiek, nie odpowiada już naszym ludzkim, wyrozumiałym pojęciom i... naukowym! Jeżeli nie jest mylnem, że postać Sfinksa jest tylko zrozumialej dla pewnej epoki uwydatnionym kształtem człowieka, w którym różne są władze. Jak wiadomo, Plato ostatecznie umiejscowił je... (O ile »wyższe« są namiętności intellektualne od cielesnych?) Sfinks byłby więc niezgrabnem przedstawieniem człowieka, przedstawieniem rozproszonem; później usiłowano również przedstawić duszę oddzielnie i ciało, bezskutecznie. Grubość i konwencyonalność symbolów cechuje zawsze początki jakiejś sztuki. Centaury, nimfy, Pan, co znaczą psychicznie: to samo, co Sfinks: harmonię, czyli największą zagadkę. Sfinks, w jakiejkolwiek występuje postaci, nasuwa wszędzie tę samą zagadkę: człowiek, przyroda, co na jedno wyjdzie. Sfinks jest zagadką dla samego siebie, najciekawszą, bo jedyną z pośród wszystkich zagadek, których takie mnóstwo już od lat dziecinnych — psychologiem był zawsze! i dowcipkował dyskretnie, ilekroć u innych spotykał się z kłopotliwą zadumą, która dla niego już minęła – wlecze za sobą niby zszarzałą szatę królewską. Dramatycznie milczący Sfinks wskutek tego nieustannie jest. Nie często można tego wyrazu tak użyć. Człowiek, idea i czyn są jednem. Każde nowe zagadnienie, które wlecze za sobą cały szereg dawnych i pędzi przed siebie cały szereg nowych, skupia się i owłada całą jego istotą — Sfinks staje się tem nowem zagadnieniem i tak ciągle jest zagadką dla siebie i drugich. Człowiek w tej idealnej formie jest niemy, staje się »posągiem człowieka na posągu świata« — jest. W sobie, w idei, w czynie. Jest harmonią, albo, banalnie mówiąc, ideałem. Programu nie ma. Można zauważyć ludzi, którzy nie mają nigdy wytkniętego kierunku, którzy odrzucają wszelkie narzucone for-

muły stałości, siły charakteru, którzy nie postępują stosownie do powziętego planu, w rozproszeniu. O ile inaczej wyśrubowane dzisiaj społeczeństwa ułożyły stosunki. Człowiek i charakter, to zazwyczaj dwa sprzeczne żywioły. Człowiek ma charakter, lecz nim nie jest. On wie z góry, jak stosownie do swojej cennej posiadłości postąpi. Sfinks nie wie. Sfinks nie będzie, on jest. Sfinks jako naiwny i jako naiwny à rebours. Miłośnicy jaskrawych kontrastów niechaj tego człowieka postawią obok »człowieka czynu« mniemania powszechnego.

Społeczeństwa ludzkie chcą, aby wielkie rezultaty, przewroty w psyche ludzkiej, były dziełem wspólnem, bezimiennem, ażeby każdy mógł w historyi pozorów mieć miano współtwórcy, dlatego wysyłają przed siebie działaczy, pół-artystów, księży i nazywają ich ludźmi czynu, altruistami. Życie jest zbyt krótkie: ciąg dalszy musi nastąpić! Ideał wymierzony na taką odległość, że wszyscy ieszcze czasu uchwycą dosyć, aby do wspólnego biegu się przyłączyć. W tem nieświadomem postępowaniu społeczeństwa działają mądrze dla dobra swej sławy, tej sławy, którą w ten sposób, połowicznością, niedokończonością osiągnąć tak łatwo. Lecz ci ludzie czynu są potrzebni i użyteczni. Psychy ludzkiej nie zreformują, trzymają się pozorów, które w zmienionej postaci, wpływać mają na psyche. Pośredniość co najmniej mądra, o ile bezpośrednie modelowanie duszy z pomocą mówienia nigdy nie da się uskutecznić. — Człowiek »odwrócony od życia« natomiast jest nawskroś zbyteczny, swojem milczeniem budzi duszę ludzką i modeluje ją ku zdobyciu harmonii. Spojrzyjcie na obraz Malczewskiego »Śmierć«. Do czego zachęca, od czego odstręcza? Podsuwa jeno ideę człowieka, który umiał pogodzić sprzeczności. Idea ta stwarza w człowieku, kontemplującym to dzieło, zaciszny kult i podziw i entuzyazm, modeluje duszę.

Raz na zawsze (kto chce, oczywiście!) wyprzemy bieżące wyobrażenie »człowieka czynu«: moralizatora, polityka, apostoła. Eśtetyczne czyli żywe przedstawienie pojęć altruizmu i egoizmu, tych napozór-krańców, ziszcza się w kształcie jedynym: w człowieku czynu, w którym typ kontemplatywny i aktywny w jeden się zespalają, o ile ten człowiek czynu nie chce stworzyć ideału poza sobą, lecz egzaltuje się sam do ideału człowieka i nic ponad to. Idea Nadczłowieka się nasuwa. Tyle strasznych śmieszności, związanych z tą ideą. Nietzsche wykuł nowego Sfinksa. Nadczłowiek to nie ten, który wyzbył się wszystkiego, co ludzkie; przeciwnie: jest tylko drugim biegunem człowieka: jest naiwnym à rebours, rządzi się nową przyrodą, intellektualną pracą. Zarathustra

jest mądry, chytry, przebiegły i dumny; orzeł i wąż są emblematami jego istoty. Istotą swoją, ciągle w dramatycznym spoczynku tkwiącą, odciska się na przestrzeni inaczej jak człowiek w dziecinnych czasach. Gest jego, to nie ruch nóg i rąk — to gest istoty, która przeniosła siedzibę do mózgu, do duszy. Zarathustra po przelatującą rozkosz lub boleść ręki nie wyciąga: — oplata ją, gdy ręce spoczywają, potężną dłonią swego intellektu. Taksamo jak człowiek dziecinny — rzeczywistym ruchem. Widzimy tu ten przepastny rozdział między pojęciem człowieka czynu bieżącem a prawdziwem. Człowiek czynu: Uebermensch, Sfinks obdarzony jest potężnym intellektem czyli zaprzeczeniem tego, co zazwyczaj za czyn uchodzi. Goethe jeszcze określa: »Człowiek czynu jest zawsze bez sumienia; obok człowieka kontemplatywnego niema człowieka sumiennego«. Goethe nie widział tej nowej harmonii, którą jednak Grecy już znali i pojął człowieka czynu jako istotę, która pragnie się wyszumieć, dać ujście swej energii bez względu na przeszkody; przeszkody łamie istotnie: Don Juan, wielki polityk, który, zapatrzony w cel swój, nie przebiera w środkach, nie obmyśla ich, nie jest sumienny. Świadomość jednak ma, tę lichą świadomość oddzielenia przestrzennego od punktu, do którego dąży. Niszczy więc przestrzeń ręką, nogą, zębami, tę przestrzeń, która dla prawdziwego człowieka-czynu nie istnieje. Ogromna odległość dzieli tych ludzi: zdolność powciągania nieprzefiltrowanych, nieestetycznych, użytecznych gestów. — Tkwią jeszcze o pół wieku wstecz w Goethem ci, którzy nadczłowieka mienią człowiekiem bez »sumienia«. (Ani nie jest »końcem« człowieka. Taksamo jak »blonde Bestie" nie jest »początkiem człowieka«. Jest tylko człowiekiem wzniesionym do stanu żywej idei.) Nie spostrzegają tej nowej harmonii. Przypadkowe, nie, pozorne podobieństwo i tożsamość naiwności i naiwności à rebours nasunęło im tożsamość idei »blonde Bestie« i »Uebermensch«. Tymczasem »blonde Bestie« czem jest? Dziecinnym okresem przemian, u Nietzschego twórczem słowem, nadającem barwę rozwojowi kultury, która ciągle porusza się po tych dwóch niezmiennych torach: dziecinny i intellektualny. Równocześnie. Więc i dzisiaj. Nadczłowiek jest z swoim chytrym intellektem tak od niej daleko, jak daleko jest skrajna sztuczność od skrajnej naturalności. A jednak stykają się w ostatecznych rezultatach. I jeden i drugi: człowiek czynu.

Z drugiej strony zważmy działanie człowieka czynu, jego wpływ. Zaznaczyłem, że człowiek czynu nie działa tem, co robi, lecz *jak* czyni, działa własną swoją formą życia. Takim jest Sfinks.

Działa bezpośrednio na psyche, ale bez celu, bo tym jest jedynie on sam, jego własna i ciągła, teraźniejsza przemiana w ideę, jego ciągłe i nieustanne wyciskanie formy. Człowiek czynu jest na ten sposób krańcowem przeciwieństwem reformatora, kaznodziei, apostoła. Nie zachęca do niczego, nie nawoływa, jest cały w czynieniu, jest czynem, który mimo swą chęć i wolę modeluje dusze ludzkie (Napoleon np.). Jest niemy jak Sfinks, człowiek czynu, który nic nie »robi«. Można doskonale pojąć Tołstoja, który chwyta się doktryny Lao-tseu o nieczynieniu, o wegetatywnym bycie, lecz Tołstoj cały opanowany jest ideą użyteczności i pojmuje doktrynę tę jako katechizm znikomości wszech rzeczy i bezużyteczności wszelkiego działania. Gdy tymczasem Sfinks jest sam w sobie nawskroś zbytecznym. Atoli jak i co nie można oddzielać, Tołstoj nie znaczy tylko oczywiście tem, co mówi, lecz jak mówi — znaczy swoim entuzyazmem, znaczy swoją z dzieł jego wyglądającą postacią ekstatyka. Chociaż co i jak coraz bardziej zaczynają mieszać się u niego. Skutkiem tego może być, co już powtarzało się w historyi: Tołstoj może steroryzować, na chwilę, ludzkie pragnienie, lecz skrystalizować go, skamienić nie zdoła. Savonarola sterroryzował swoje społeczeństwo, tak samo Skarga, tak pojętym altruizmem. Niewielu chyba było takich, którzy, wysłuchawszy płomiennych słów, poszli cichaczem w cienie, żeby przylgnąć istotą swoją do pracy i entuzyazmu, którego gesty przed chwilą podziwiali. Reszta chciała »w czyn wprowadzać« słowa i dotychczas wprowadza. »Teorya i praktyka«. Co jest teorya, a co praktyka? Na tle takiego rozproszenia wytwarzają się »prądy«, które w rozbieżnych pchają kierunkach drogi ludzkie: idea egzaltacyi człowieka do harmonii jest własnością niewielu. Przypadek podsuwa »zrozumienie« tego, co mówi pewien osobnik. Stąd ludzie, którzy filozofemy stosują do codziennego życia. Arystyp. Człowiek czynu działa swoją własną formą życia: czy to będzie, jako filozofia, pesymizm, czy optymizm, czy co innego, to na jedno wyjdzie. W absolutnej niemości, w obojętności tkwi punkt zaczepny działania, w nim samym. Znowu przejdźmy się po ulicach miasta: harmonijnie, naiwnie ubrany człowiek swoją elegancyą budzi kult, dla idei. Odłączone od siebie: umysł i »jak« umysłu stają się strzępami, targanymi przez wulgarne wichry »czynu«.

ST. LACK.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Mens. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.

OD REDAKCYI!

W POŁOWIE LIPCA B. R. WYJDZIE »ZAKOPIANSKI« ZESZYT »MŁODOŚCI«.

DO TEGO ZESZYTU REDAKCYA ZAPROSIŁA:

W DZIALE LITERACKIM: PP. J. JEDLICZA, WŁ. ORKANA, A. STOPKĘ, M. SZUKIEWICZA, ST. WITKIEWICZA I INNYCH.

W DZIALE ILUSTRACYJNYM: PP. W. BRZEGĘ, K. LASZCZKĘ, ST. WITKIEWICZA, L. WYCZÓŁKOWSKIEGO I INNYCH.

DEKORACYJNA CZĘŚĆ ZESZYTU Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.